



Czego uczy życie.

Gdy człowiek jest młody jeszcze, gdy nie miał czasu nabrać doświadczenia życiowego, gdy zapal gorący nie przystygł jeszcze w jego piersi — gdy chęć czynu — przenika młodą jego duszę, jest on zarazem najskłonniejszy do oskarżeń, nienawiści, niesprawiedliwych sądów. Zdawało by się, że ta moc uczucia, jakiem władnie młody, winna uczynić go łagodnym, sprawiedliwym, oględnym w nienawiści, pobłażliwym; jednak tak nie jest. Pobłażliwość dla win i grzechów — jest właściwością starców.

Dlaczego? Może ta pobłażliwość starców wypływa z zaćmienia się ich władz umysłowych a może ma swe źródło w obojętności dla tego, co dobre i złe?

Tak jednak nie jest, pobłażliwość dla win i złości wyrabia życie. Starzec zna wiele ludzi od dzieciństwa. Oto, widział kogoś dziećciem, znał jego rodziców; znał pierwszych jego opiekunów; później dziecko wyrosło w młodzieńca, i starzec znał towarzyszy jego, znał myśli i czyny jego; młodzieniec zmienił się w człowieka dojrzałego, i starzec widzi tego dojrzałego człowieka i przypomina sobie jego rodzi-

ców, opiekunów, przyjaciół, przypomina go sobie dzieckiem i młodzieńcem, dochodzi do przekonania, że człowiek jest taki, jakim być musiał, jakim uczyniły go cechy charakteru, odziedziczone od rodziców, otoczenie w którym przeszły pierwsze lata jego życia, wreszcie środowisko, w którym się wychował. Jeśli wychowywał się wśród złych ludzi, słuchał rad złych przyjaciół, jeśli nie miał nikogo, kto by go przed złem ostrzegł a do dobrego zachęcił, to wyrósł na marnego człowieka na bezpożyteczną a nawet szkodliwą jednostkę w społeczeństwie. I starzec, zamiast oskarżać go, szydzić, nienawidzić, współczuje z nim, lituje się nad nim, a z uczuć tych rodzi się pobłażliwość.

Oto, jak życie wyrabia pobłażliwość w człowieku.

Życie mówi tak:

Człowiek, rodząc się, ma w swej duszy zarodki dobrego i złego. Dziecię najsłabiejnich nawet rodziców nie jest pozbawione zupełnie nasion zła. I to dobre i to złe zarodkiem, nasionkiem tylko drobnym. Gdyby rodzice słabiejni mieli dzieci z zarodkami tylko jednego dobrego, to byśmy nie widzieli nigdy złych synów, pochodzących od dobrych rodziców a jednak widzimy to często. W duszy dziecka może być więcej nasion dobrego niż złe-

go, może i odwrotnie. Ale, jedno i drugie istnieją.

Od kogoż zależy, w czyjej jest mocy, aby zniszczyć nasiona złego w duszy dziecka a wyhodować tylko dobro? Od rodziców a przede wszystkim od matki!

Matka, która przez pierwsze lata ma wyłączną pieczę nad duszą dziecka, matka, która z dzieckiem ciągle przybywa, patrzy na nie, słucha pierwszych słów jego szczeniutka, może przekonać się czy, i jakie dobre i złe strony dziecię posiada?—Chłód, brak wrażliwości, upór, zawzięcie i t. d. I matki obowiązkiem jest dobrym przykładem i łagodnym postępowaniem wzmacniać to, co dobre, stłumić to, co złe.

Z chwilą, gdy dziecko ma już lat kilka, gdy znajduje sobie towarzyszy zabaw, gdy potem idzie do szkoły, wpływ matki słabnie. Dziecię zaczyna wychowywać świat, ludzie. Matka winna zaskarbić sobie szczerść dziecka, gdyż tylko wówczas, gdy dziecię zwierza się jej z czynów i myśli swoich, może ona trzymać w swej dłoni ster, którym kieruje duszą jego.

I coraz bardziej życie i świat biorą duszę człowieka pod swą władzę. Każdy człowiek, każda rozmowa, każda książka — wywiera swój wpływ na duszę dziecka. A wpływy są dobre i złe. I dobre wpływy walczą ze złymi wpływami, młode płonki, wyrosłe z nasion dobrego, walczą z chwastami, wyrosłymi z nasion złego. I koniec tej walki rozstrzyga, czy człowiek wyrosta na złą i pożyteczną jednostkę, czy na złą i szkodliwą.

Dusza człowieka dorosłego — to jak pole, pokryte zbożem i chwastami, wyrosłymi z ziarn, które kryły się w ziemi. A wpływy ludzi i książek a te smutki i radości, które on w życiu przechodził — to jak słońce, deszcz, rosa ożywcza i grad zabójczy. I radość, tj: słońce i smutki, tj: deszcz, potrzebne są, by z nasion wyrosły pożyteczne rośliny a grad, tj: złe wpływy, mogą zgubić zboże. I tem bujniej chwasty rodzić się będą.

Czy pole winno, że go nie uprawiono, czy pole winno, że je grad zniszczył, że je deszcz zatopił, lub słońce przepaliło?

Nie my tylko możemy się smucić, że polem złe się zajął jego właściciel, że złe wpływy zniszczyły dobre.

Tak mówi życie i dlatego starzec, gdy widzi duszę człowieka, chwastem porośłą, smuci się tylko i współczuje z nią. I dla tego młodzieniec, któremu życie prawdy tej jeszcze nie odkryło, niech słucha starca i wierzy jego doświadczeniu.

W obozie powstańczym. (1863 r.)

Szumi las, szumi las,
W porankowy złoty czas —
Hej, w dal siną echa płyną:
„I za was i za nas!”
Osiadłane konie rżą,
Płoną oczy, szable lśnią,
Na polanie, w zórz świtanie,
Z młodych piersi piosnki grzmia.
Bije lasem bujny śmiech,
Wstaje w borze tysiąc ech —
I polata w strony świata,
Do słomianych, kmiecych strzech.
Od kościółka dzwoni dzwon,
Mknie lazurem srebrny ton,
Głos pacierza w strop uderza:
„Daj potomnym zbierać plon”.
A tam niesie wiatru wiew,
Wron krakanie z poza drzew,
Lecą czarną zgrają gwarną,
Czują łupy, czują krew.
Szumi las, szumi las,
W ten jesienny złoty czas —
W kraje świata pieśń polata:
„I za was i za nas!”

LUDWIK WALESIAK
CHŁOP BOHATER.

Było to w maju 1863 r., o kilka mil od Warszawy. Nieopodal od wsi Chobot, w gubernii warszawskiej, pow. nowiński, gmina Dębie-Wielkie, stanął w lesie oddział powstańców pod dowództwem Janikowskiego.

Kilku chłopów z tej wsi nieśli co mogli do obozu powstańczego. Jedni żywność wszelkiego rodzaju, drudzy proch, ołów, lub jaką strzelbinę, przechowywaną w strzesze. Pewien chłop, nazwiskiem Walesiak, wybierając się właśnie z tymi zapasami do obozu, rzecze do swego syna Ludwika, chłopaka lat około 20: „Chcesz widzieć nasze wojsko, to chodź ze mną“. Ludwikowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Rzuca woły, którymi orał kawał ojcowskiego pola pod lasem i biegnie razem z ojcem do obozu, gdzie nasycą swój wzrok widokiem strzelców, kosynierów i kawaleryi narodowej. Po jakimś czasie wraca do swoich wołów, bierze sochę w rękę, gdy naraz zostaje otoczony przez kozaków, w liczbie kilkunastu.

Dowodzący nimi oficer zwrócił się do Walesiaka z zapytaniem:

— Gdzie miateźniki?

— Nie wiem — odrzekł Walesiak.

— Kłamiesz! wiesz, boś tylko co wyszedł z lasu; myśmy cię stamtąd idącego widzieli; wreszcie stary chłop, któregośmy przed chwilą spotkali, mówił nam, żeś ty wrócił z obozu.

— Nie byłem, nic nie wiem i nic nie widziałem — twierdził Walesiak.

W odpowiedzi na to oficer kozacki ściągnął Ludwika nahajką i kiedy nie przedstawiał upewniać, że nic nie wie i nic nie widział, kazał go swoim kozakom okładać nahajkami. Rozkazu nie potrzebował powtarzać, bo wiadomo, że kozak zawsze rad z nahajką poigrać. Zaczęło się tedy niemiłosierne katowanie Walesiaka. Bito go nie tylko po plecach, ale i po głowie i po twarzy. Z początku o ile mógł nieszczęśliwy zasłaniał się od ciosów, wymierzonych w twarz, rękami, lecz kiedy te osłabły, dostało się i twarzy i głowie, z której czapka dawno już spadła. Nareszcie na znak oficera, kozacy zaprzestali katowania.

— No, widzisz, do czego upór ciebie doprowadził a wszystko to bez żadnej korzyści: ot, lepiej powiedz, gdzie są Polacy, to nie będziesz bity i oprócz tego zostaniesz jeszcze nagrodzony. To mówiąc, wy dobył z zanadza pugilares a z niego

paczkę asygnat i te wtłaczając w pobite nahajkami ręce Walesiaka, rzekł:

— No, bierz pieniądze i mów prędko, gdzie stoją Polacy?

— Ja nie chcę pieniędzy, nic nie powiem, bo nic nie wiem i nic nie widziałem.

Ten bezprzykładny upór chłopca, w którego sercu istnienia jakichś szlachetniejszych pobudek oficer kozacki ani na chwilę nie przypuszczał, podniecił wybuch jego dzikiego gniewu: zeskokczył z konia, pochwycił Walesiaka za głowę i obaliwszy na ziemię zaczął go na wszystkie strony kopać nogami i naostatek kazał kozakom narzucić mu na szyję postronek, zadziergnięty na pętlę i siadłszy na konie jechać za nim do pobliskiego lasu. Zmordowany poprzedniemi katowaniem Walesiak, ciągnięty na postronku za szyję po roli i nierównościach gruntu, nie mógł nadażyć jadącym kozakom, to też nieraz padał na ziemię, a szarpany i duszony znowu zrywał się na nogi i ile mu sił starczyło biegł za kozakami. Stanęli na wzgórku skraju lasu. Zdaleka z poza drzew widać było gęsto rozwijające się szeregi wojska rosyjskiego; dolatywał nawet niewyraźny daleki gwar głosów ludzkich i rżenie koni, a tuż prawie u podnóża wzgórka, może o jakieś paręset kroków, w lesie stał oddział wojska polskiego, złożony w części z piechoty, w części z kawaleryi, liczący zaledwie 200 ludzi. Była to część liczniejszego oddziału polskiego, rozbitego w lasach około Wiązowny pod dowództwem Janikowskiego.

Właśnie na tę garstkę rozbitków od strony wsi Długiej-Kościelnej nadeiwały liczne oddziały wojska rosyjskiego z baterią artyleryi. Również w Okólniewie, miasteczku, leżącym stąd o wiorst kilka, stał tegoż wojska pułk cały. Gdyby podjazd kozacki, w którego ręce wpadł Walesiak, zdołał dowiedzieć się, w jakim miasteczku punkcie ukrywali się Polacy, osaczenie ich mogłoby nastąpić najzupełniejsza a to pociągnęłoby za sobą porażkę doszczętną, bo niepodobna, aby 200 ludzi, licho uzbrojonych i źle wyćwiczonych, mogło stawić skuteczny opór sile 8 armat i całego pułku wojska regularnego.

Oficer kozacki, w którego rękę był nie-
szczęśliwy Walesiak, prawdopodobnie oce-
niał dobrze ważność chwili i jednocześnie
był przekonany, że w osobie Walesiaka,
czyli raczej w jego zeznaniu, ma niezmier-
nie bogaty materiał do pozyskania na-
grody dla siebie w postaci rangi i orderu.
Jedno Walesiaka słowo, jedno wskazanie
palcem ręki w kierunku, gdzie byli ukryci
Polacy, mogły spełnić marzenia dzikiego
kozaka. Tymczasem ten mizerny chłop-
na, przyjmując na swoje ręce, plecy i gło-
wę niezliczoną moc nahałek, odrzucając
gwałtem wypychane w jego ręce pieniądze,
w niwecz obraca tak gorąco pożądane
szczęście. Taki upór, albo też siła chara-
ktetu chłopca, przechodząca pojęcie ko-
zaka, doprowadza go do wściekłości. Znowu
zeskakuje z konia, znowu kopie go noga-
mi i zapowiada w końcu, że jeśli zaraz
nie powie, gdzie są Polacy, to w tej chwili
będzie powieszony. Jakoż istotnie, gdy
jeszcze raz posłyszał z ust Walesiaka te
same ciągle przez niego powtarzane słowa:
„Nic nie wiem, nic nie widziałem“, kaze
go kozakom wieszać. W moment rozkaz
został spełniony. Walesiak, nawpół już
nieprzytomny, zawisł na gałęzi drzewa na
tym samym postronku na którym go na
wzgórek przywleczono. Po dokonaniu egze-
kucyi, kozacy w tej chwili puścili się pę-
dem i znikli w zaroślach. Ale oprócz oczu
Opatrzności, czuwały nad dzielnym chłop-
cem jeszcze oczy dwóch stojących w ukryciu
za drzewem na pikiecie powstańców, strzel-
ca i kosyniera. Ostatni, po zniknięciu ko-
zaków, nie tracąc chwili, poskoczył do
wisielca i jednym cięciem kosy po postron-
ku wczas jeszcze ocala mu życie, pozo-
stawiając go już wreszcie własnemu losowi,
gdyż sami musieli podążyć za szybko
umykającym oddziałem. Co się potem
stało, opowiada Walesiak temi słowy: „Po
pociągnięciu na gałąź straciłem przytom-
ność. Jak długo trwał taki stan — nie
wiem. Z powrotem przytomności poczu-
łem odrętwienie we wszystkich członkach
ciała, ból i szum w głowie i suchość w
gardle. Z wielką trudnością podniosłem
powieki i pierwszą rzeczą, którą ujrzałem,

to był postronek, wiszący na drzewie. Na
widok jego okropny mnie strach ogarnął,
zerwałem się, aby stamtąd uciekać, ale
zaraz upadłem i zdaje się znowu zemdlą-
łem, potem zacząłem czołgać się po ziemi,
ustawiałem, chwytając się za drzewa i
ciągle z największym wysiłkiem to pęzłem,
to przewracając się szedłem w stronę do-
mu. W rękę nie miałem nawet tyle siły,
aby rozgarnąć na czole włosy, które krwią
się zlepiły i zakrywały mi oczy. Nie tylko
twarz cała, ale i głowa były zbrozzone we
krwi. Nareszcie po długiej pracy dowłó-
kłem się do domu, gdzie przez kilka ty-
godni przeleżałem ciężko chory. Włosy
mi z głowy wypęzły i skóra z twarzy
złazła a ból w krzyżu, szczególnie w kar-
ku, długo mi jeszcze dokuczał. I teraz,
nawet po 50 latach, od czasu do czasu ten
ból się powtarza, choć w całym ciele czuję
się być mocnym. Rząd Narodowy, dowie-
dziawszy się o pokrzywdzeniu mnie przez
kozaków, przysłał mi 300 złotych na ku-
rację i nadto pismo“.

Dokument ten, w czasach niebezpie-
cznych przechowywany przez Walesiaka
w butelce, zakopanej w ziemi, jest na-
stępujący:

Rząd narodowy

Wydział spraw wewnętrznych.

Nr. 396—126.

Warszawa, dnia 28. czerwca 1863 r.

Do Ludwika Walesiaka

Z Dębego-Wielkiego.

Szlachetny czyn Twój, Bracie, doszedł
do wiadomości Rządu Narodowego. Po-
stąpiłeś tak, jak przystoi na uczciwego i
odważnego człowieka: wolałeś śmierć po-
nieść, niż zdradzić swoich braci i dlatego,
pomimo okrucieństwa Moskali, nie wska-
załeś im miejsca, gdzie było wojsko pol-
skie. Toć Bóg sam widząc Twoje poświę-
cenie, zesłał ci ratunek i ocalił Cię od
śmierci na to, ażeby dać dowód Tobie i
innym, że czuwa nad nami i otacza swoją
opieką tych, którzy gotowi są poświęcić

siebie dla ocalenia Ojczyzny z niewoli,
wie o wszystkim, co się w kraju dzieje
i o Tobie też dowiedział się, chociaż Ty
nie myślałeś pewnie o tem, że twoje imię
do Niego dojdzie. Rząd wie także o tem,
że Moskałe pastwili się nad tobą i po-
krzywdzili Cię na zdrowiu i dlatego posy-
ła Ci 300 złotych, abyś się miał za co
wyleczyć. Pieniądze te dane są Tobie nie
w uagrodę za Twój uczynek, bo za poczi-
wość nikomu się nie płaci, każdy powin-
ien być uczciwym, dlatego tylko, że tak
Pan Bóg przykazał, i że tak mu sumienie
nakazuje; pieniądze posyła Ci się na
koszta kuracyi a dla Ciebie na pamiątkę
niech będzie to pisanie nasze, które za-
chowaj sobie, ażebyś kiedyś, jak ci Pan
Bóg pobłogosławi, mógł swoim dzieciom
wskazać przykład, jak należy Ojczyznę i
braci kochać i wiernie im służyć.

M. P.

* * *

Walesiak obecnie ma 70 lat, zajmuje
się gospodarką, a ponieważ nie może z
ziemi wyżywić licznej rodziny, przeto za-
rabia jako cieśla. Ma trzech synów i do-
czekał się wnuków. Słynie z uczciwości,
moralności i jest ogólnie szanowany.

NA PRZEDZIMIU.

Dawno święty Wawrzyniec
Pootrzasał orzechy,
W całym polu gościniec,
Nie masz na niem uciechy.

Przeszedł sierpień i wrzesień,
Kłosów, kwiatów już niema,
Przeszła piękna ta jesień,
Idzie za nią już zima.

Z wiosną drzewa zielone,
W sadach, gajach, po jarach,
Potem złote, czerwone,
Niby w bajce o czarach.

Rankiem przez mgły, tumany,
Oko przejrzeć nie może,
Świat znów śniegiem przybrany,
O mój Boże, mój Boże!

Ciągną chmury śniegowe,
Po pagórkach wiatr hula,
I swe perły szronowe,
Dała święta Urszula.

Oj, Urszula a Łukasz,
Zmietli wszystko w swobodzie,
Darmo człeku już szukasz,
Choćby rzepki w ogrodzie.

Czasem słonko zabłysło
Tak ciepłuchne, ułudne,
A w powietrzu zawisło
Babskie lato precudne.

Marneż było to lato,
Chociaż niby przygrzewa,
Przeminęło, a za to
Przyszła zima prawdziwa.

Przeszedł Szymon wraz z Judą,
I wiatr mroźny już wieje,
Ziemia ściska się grudą,
Liść ostatni rozsiewa.

Lecą płatki śniegowe,
Aż człowieka strach bierze,
Za duszyczki czyścowe
Szeptaliśmy pacierze.

Wieczny spokój daj Panie!
Tym, co śpią tam już w ziemi,
A gdy i nas nie stanie,
Daj odpocząć wraz z nimi.

Wszystkoć na tym tu świecie
Dobre z Bożej jest ręki,
Więc za wszystko mu przecie,
Przynależą się dzięki.

Za snop każdy zebrany
W krwawym pocie corocznie,
I za zagon zorany,
Co pod śniegiem odpocznie.

Niech tam zima śnieg miecie,
Niech po polu wiatr goni,
Nam nie straszno na świecie,
Bo nas chata osłoni.

Mała, licha, lecz własna,
Wiek dodaje jej cześci,
I obszerna, choć ciasna,
Bo w niej szczęście się mieści.

Złote ziarnka.

Fala morska ta najgłośniej huczy, co ma
się rozbić na piasku.

—o—

Człowiek, który się nie zastanawia, jest
jak liść, który jest igraszką wicherów.

—o—

Jeśli mówimy o drugich to, co się naszej
złośliwości podoba, usłyszmy o sobie to,
co się pysze naszej nie podoba.

—o—

Lepiej z małego garnuszka jeść barszcz
kwaśny, niż z wielkich pucharów spijać
słodocze w zgrzoczcie.

—o—

Niespokojna żądza człowieka, wszystko za-
truwa swym jadem.

—o—

Łatwiej ustrzedz się innych, niż siebie sa-
mego, łatwiej zwalczyć cudzą siłę niż
własną słabość.

Rady gospodarcze.

Zwierzęta szkodliwe i pożyteczne. Wiele
jest zwierząt sprawiających znaczne szkody,
bądź w domu, bądź w polach lub o-

grodach; do nich należą: Kuna, która
czyni wielkie spustoszenia wśród drobiu;
trzeba ją truć, albo chwytąć w pułapki.
Łasica także czyni znaczne szkody, z dru-
giej jednak strony tępi szczury i myszy.
Szczury wszystko niszczą i gryzą a po-
niemaj koty nie są w stanie ich wytępić,
trzeba więc używać pułapek i trucizny.
Podajemy tu kilka sposobów ich trucia:
Jeden z najpospolitszych polega na zmie-
szaniu wapna, albo gipsu z mąką i posta-
wieniu zarazem obok miseczki z wodą.
Zwierzę najadłszy się mąki z wapnem,
czuje palenie w żołądku i chciwie rzuca
się do wody, która przyspiesza śmiertelne
działanie wapna. Trucizna merkuryszo-
wa przyrządza się w ten sposób: zmieszać
razem i rozetrzeć 120 gr. ośrodka chleba,
60 gr. masła i 30 gr. saletrganu merku-
ryusza. Narobić z masy pigulek i rozrzu-
cić. Trucizna fosforowa składa się z 8 gr.
fosforu, rozpuszczonego w 80 gr. wody
gorącej, z dodatkiem po stopieniu, 8 gr.
mąki. Po ostudzeniu dodać jeszcze sadła
roztopionego 8 gr. oliwy 40 gr. i cukru
miałkiego 50 gr. Maść trzymać w słoiku,
smarować na skórki chleba i rozrzucać.
Dwie powyższe trucizny są bardzo silne,
trzeba więc ostrożnie obchodzić się z nie-
mi. Truje się także szczury zapomocą
siarczku węgla; wrzuca się go w ich no-
ry, które później zatyka się ziemią. Myszy
polne, które sprawiają znaczne szkody w
ziarnach, można wytępić zapomocą bar-
dzo prostego środka; pokrajać gąbkę na
kawałki, usmażyć na patelni i porozrzucać
na polu.

W kilka dni można spotkać wszędzie
myszy spuchnięte i nieżywe. Mysz, choć
najmniej, należy do najszkodliwszych
zwierząt, nie się przed jej żarłocznością
nie osto. Gdyby koty i pułapki nie były
w stanie ich wytępić, trzeba użyć trucizny
takiej jak na szczury. Tehórz jest naj-
większym wrogiem szczurów i myszy, z
tego względu należałoby go ochraniać, choć
czyni niejaki szkody w kurniku.

Jeż, tak nielitościwie tępiący, zasłu-
giwałby owszem na opiekę, gdyż żywi się
przeważnie myszami, gąsienicami, owada-

mi i ściga zawzięcie żmije, których ukąszenia żadnej mu szkody nie robią. Nietoperza także nie należy zabijać, jest to bowiem bardzo pożyteczne zwierzę, karmi się wyłącznie owadami i gąsienicami. Kret, uważany dotąd za zwierzę szkodliwe, jest przeciwnie bardzo pożyteczny, gdyż pożera nieobliczoną ilość gąsienic wszelkiego rodzaju. Robi czasem nieznaczne szkody w zasiewach i psuje grzędy kwiatowe przez zakładanie podziemnych galeryi; jednak i wtedy nie należy go zabijać, lecz tylko wypędzać, nalewając wody z naftą w chodniki lub zakładając w nie główki śledziowe, których woni kret nie znosi.

Ptaki zjadają wprawdzie owoce i nasiona, ale za to tępią mnóstwo owadów i gąsienic. Najpozyteczniejsze są: szpaki, sikory, sroki, jaskółki, sowy, wróble, skowronki, słowiki, czeczotki, dudki. Ptaki drapieżne, jak jastrzębie, kanie, sokoły, sępy i t. p. powinny być zabijane ze względu na szkody, jakie czynią, porywając młode kurczęta, kaczęta i t. p. Od owadów odpędza się ptaki zapomocą straszdeł, zwierciadełek zawieszonych na drzewie, albo młynków wietrznych.

Kruki, wrony, dzierzby, gołębie, dzikie gęsi są szkodliwe, gdyż niszczą zasiewy. Wybieranie z gniazd piskląt i chwytanie ptaków w sidła powinno być surowo wzbronione, gdyż przynosi prawdziwą szkodę rolnictwu i ogrodom.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Rady zdrowia.

Doraźny ratunek. Niejednokrotnie się zdarza, że udzielenie pierwszej pomocy w nagłych wypadkach ze strony otoczenia chorego jest albo zupełnie niedostateczne lub nawet wprost szkodliwe. To też piszącemu te słowa chodzi o to, aby udzieleniem kilku wskazówek, jak pierwszej

pomocy w nagłych wypadkach udzielać należy, przyczynić się do tego, by pomoc ta stała się skuteczniejszą, zwłaszcza tam, gdzie o pomoc lekarską natychmiast postarać się nie można.

W życiu praktycznem chodzić będzie przedewszystkiem o to, jak należy opatrzyć jakąkolwiek ranę. Na samym wstępie zaznaczyć należy, że rany nie wolno dotykać, tem mniej stwierdzać jej głębokość. Wyrządzonoby temsamem nieobliczalną wprost szkodę okaleczonemu, gdyż zanieczyszczonoby ranę; a następuje to dlatego, że do rany dostają się zapomocą dotykającego palca, dla oka niewidzialne drobnoustroje t. zw. laseczники czyli prątki, które wywołują ropienie i gorączkę, a nawet życiu okaleczonego poważnie zagrażać mogą. Pierwszym więc i nieodzownym warunkiem przy opatrywaniu ran jest jak najdalej posunięta czystość. Z tego samego powodu też ran ani obmywać, ani płukać, ani z niej jakichkolwiek przedmiotów, jak igieł, szkła, drzazg, kul itp. wyciągać nie wolno. Natomiast usunąć wolno, a nawet należy całkiem zewnętrznie do rany przyrzuconą ziemię itp., rany samej nie tykając zupełnie.

Lecz czem należy ranę opatrzyć? Otóż przedewszystkiem gazą zupełnie czystą, a w braku jej czystą, świeżo praną bielizną, a więc chustkami lub serwetami, które należy, o ile czas i warunki na to pozwolą, ponownem wyprasowaniem wyjałowić. Gorące żelazo niszczy bowiem wszelkie drobnoustroje, wywołujące zanieczyszczenie rany. Wyraźnie przestrzegać należy przed opatrywaniem ran t. zw. starem płótnem, gromadzonem dawniej często w domach w tym właśnie celu. Płotno bowiem takie zawsze jest zanieczyszczone najrozmaitszymi drobnoustrojami i więcej zaszkodzić niż pomódz może. Tyle w sprawie opatrywania zwykłych lżejszych ran.

Ciąg dalszy nastąpi.

0,48 ps

Fraszki.

Delikatny smak. Pan Trembalski mówi do służącego: — Przynieś mi dzbanek wina, ale wprzód wypłucz go winem, abym nie czuł, że ktoś pił z niego wodę.

Przed sądem. Sędzia pyta obwinionego: — Co to za przyczyna, że twoje zeznania całkiem są inne niż twojego kolegi? — Bo on pewnie taksamo kłamał, jak ja.

Miejskie dziecko na wsi. — Patrz mój synku, tu się pasą krowy. One to dają nam mleko. — Tatusiu, ale te czarne krowy, to pewnie dają tylko kawę?

Ważny dowód. Adwokat do kan. dydata na sekretarza: — Niestety, nie mogę pana przyjąć, bo choć mi pisałeś, że masz wszystkie warunki na sekretarza, jesteś pan prawie całkiem głuchy. Na wszystkie moje pytania odpowiadasz pan tylko temi słowami: „Co pan mówi?” — Kandydat: — Co pan mówi? —

Coby dostał? — Właściciel domu zabezpieczał swoją realność w towarzystwie ubezpieczeń. Dostawszy policę, zapytuje urzędnika: — Ile jabym teraz dostał, gdyby mój dom jutro się spalił? — No, dostałbyś pan trzy lub cztery lata więzienia.

Dobry łowiec. — Nie mogę dokładnie rozpoznać, czy tam siedzi zając, czy to pień drzewa? — Wystrzel przyjacielu a jeżeli to zostanie na miejscu, to widać że to pień.

Zachęcające. Chory do dentysty: — Czy będzie pan mógł wyciągnąć mi ten ząb? — Niech pan będzie spokojny, choćbym panu miał i szczękę wydrzeć, to ząb zawsze będzie wyjęty.

Przymówka. — Gdy spotkam tego starego urzędnika, zawsze pomyślę o tobie.

— A dlaczego? — Bo on mi także winien sześć koron.

Przed sklepem złotnika. Żona: — Patrz mężusiu na te śliczne brylanty. Co za blask! Aż oczy bołą patrzeć! — Mąż: Masz słuszność. Odejdźmy; poco na ból oczu się narażać.

Niebezpieczna rana. Pewna pani ukłuła się igłą w palec. Przerażona posłała służbę po doktora. Ten, obejrzawszy ranę, rozgniewał się, że dla takiej drobnostki go wezwano. Zapisał maść i kazał śpiesznie ją przynieść z apteki. Pani się znów przerażała i pyta, dlaczego to tak nagle? Doktor odrzekł: — Bo jeśli nie zaraz przyniosą lekarstwo, to pani przedtem wyzdrowieje.

Zagadka.



Czy to na wsi, czy to w mieście,
Pomaga prac niewieście.
Z „p” on znany dobrze wszędzie,
W każdej chacie, w każdym dworze.
Jeśli z „d”, dokuczać będzie,
Czoło troską wnet poorze.

Znaczenie zagadki

w 9-ym nrze „Niewiasty“

Sto-lica.

Rozwiązanie nadeszła:

W. Gunia, Witkowice, J. Górowicz,
Kozy, W. Lubas, Gwoźnica górna, L. U-
znański, Rajbrot.



**CZYTAJcie I ROZSZERZAJCIE
WIEŃCA - PSZCZÓŁKĘ.**



Wydawca i redaktor naczelny: Jan Zamorski, redaktor odpowiedzialny: Alfred Sikorski w Bielsku
Drukarnia p. f. K. Studenckiego, własność Spółki w Białej.

